

MARTA DENYS

ur. 1944



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; Lwów ; Strzeszyn ; Gorlice ; Nowa Dęba ; II wojna światowa ; PRL ; dzieciństwo ; przełom 1989 roku ; rodzina i dom rodzinny ; stan wojenny (1981-1983) ; szkolnictwo ; edukacja ; życie codzienne ; życie kulturalne ; historia rodzinna ; Technikum Sztuk Plastycznych w Warszawie ; UMCS ; Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ; studia polonistyczne ; KUL ; Katolicki Uniwersytet Lubelski ; przewodnicy w Lublinie ; praca zawodowa ; praca przewodnika ; PTTK Lublin ; FSC ; Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie ; Wojewódzka Federacja Sportu ; Konfrontacje (dodatek do Kuriera Lubelskiego) ; Kamena (dwutygodnik) ; Kurier Lubelski (dziennik) ; Sztandar Ludu (gazeta) ; Dziennik Wschodni (gazeta) ; LSM ; dzielnica LSM ; Derecki, Mirosław (1936-1998) ; Dom Kultury LSM ; Denys, Józef ; Denys, Maria ; Denys, Barbara ; Wyszowska, Hanna (1930-) ; Wyszowski, Marek (1930-2005)

001 Dziecko, które mogłoby nie żyć

Nie jestem rodowitą lublinianką, ale muszę powiedzieć, że nabyłam poniekąd prawa rodowitej lublinianki poprzez przewodnictwo, poprzez wiedzę o dziejach Lublina i o mieście i poprzez prezentowanie tej wiedzy, a nawet uczucia do Lublina, które sprawiło, że bardzo utożsamiam się z tym miastem, choć ostatnio nie za bardzo go lubię. Moja rodzina pochodzi ze Lwowa i ja się tam nie zdążyłam urodzić i był to ciężki rok czterdziesty czwarty, wrzesień, rodzice postanowili, oczywiście wcześniej, ze Lwowa się usunąć, wyjechać, robiło się tam strasznie, a zdrowia już na drugą radziecką okupację nie mieli. Z siostrą razem, osiem lat starszą, rodzice wyjechali najpierw do Krakowa, tam dostali miejsce w Radzie Głównej Opiekuńczej, bo jeszcze była wojna, wyzwolenie to tylko tu, na Lubelszczyźnie następowało, a tam, w Galicji, Kraków i dystrykt krakowski, to jeszcze była Generalna Gubernia, więc mogę powiedzieć, że pochodzę ze Lwowa, urodziłam się w Generalnej Guberni, choć co prawda ta druga część nie przynosi mi zaszczytu żadnego. Rodzice dostali miejsce

zamieszkania, to tak dumnie brzmi, pod Bieczem, miasteczko Biecz na Podkarpaciu, rzekomo słynne ze „szkoły katów” ale to piękne miasto, zabytkowe miasto królowej Bony. I pod Bieczem była taka wioszczyna, nazywa się Strzeszyn, dzisiaj to pewnie tam włączono w granice wielkiego Biecza i tam rodzice u gospodarzy, państwa Rybowiczów, dostali jedną izbę. A nie uciekali sami ze Lwowa, ale wyjeżdżali oficjalnie, na oficjalnych dokumentach. Wyjeżdżał także późniejszy mój, niebawem mój ojciec chrzestny i jeszcze jedni tam państwo, także w trzy rodziny opuścili Lwów i w tymże właśnie Strzeszynie znaleźli jakieś zamieszkanie, a tu tymczasem właśnie jesienią na te tereny przeszła fala związana z całą tą akcją, operacją [„Wisła”. Na Duklę przeszła druga armia wojska polskiego i armia radziecka, tu szło wyzwolenie na ten teren. Słynna Dolina Śmierci w Dukli, gdzie tam jest w ogóle cały skansen militarny z czołgami, to był teren ciężkich walk. I w tym czasie moi rodzice utknęli tam, w tej wiosce, bo nie było sposobu gdzie indziej i ja się tam urodziłam jako dziecko, które w zasadzie mogłoby nie żyć. Wcześniak z bliźniąt, kilo dwadzieścia ważące, bez położnej, bez inkubatorów. Wielka odwaga i wielka ofiara była, dzielność mojej mamy, która w tak strasznych sytuacjach i warunkach jakoś utrzymała mnie przy życiu [śmiech]. Siostra biegała po wsi z garnuszkiem, zbierając tu i ówdzie, troszkę śmietany, troszkę mleczka, żeby mnie wyżywić. Mama robiła herbatkę rumiankową z tą śmietanką i tak mnie poiła, i ja jakoś tak, na takiego człowieka wyrosłam dzięki mojej dzielnej mamie i dzięki tacie i siostrze, którzy naprawdę z narażeniem życia zdobywali podstawowe pożywienie.

002 Na ratunek mamie

Rodzice mieszkali tam w bardzo licznej rodzinie, dawnego wiejskiego komunisty, gdzie dwóch synów to byli „granatowi policjanci” dwóch następnych było w partyzantce, każdy w innej, i jeszcze były siostry, więc dom był bardzo nasycony historią, stąd też prawie co wieczór przychodziły różne ugrupowania i łomotały do drzwi, i domagały się widzenia czy też aresztowania tychże synów. Mama wychodziła ze świecą w rękę, bo światła nie było przecież, i pytała: „czy wy nie macie dnia, żeby tutaj z tymi panami załatwić sprawy, tylko po nocy, widzicie, ja tu już jestem lada moment przy rozwiązaniu i wy mnie tak tutaj molestujecie”[śmiech]. Przepraszali, wychodzili, jakoś szczęśliwie się obeszło, natomiast nie za bardzo mogło się szczęśliwie obejść z wojskiem naszym wyzwoleńczym, o czym niedawno się od kogoś z rodziny dowiedziałam. Wyzwolenie, tak, ale żołnierze chcieli napaść na mamę, nie powiem, że skończyłoby się to bardzo dramatycznie. Ja już się urodziłam, nie zważali na to, że jest dzieciątko, czyli ja, w powijaczku, do mamy się zaczęli dobierać, siostra wtedy pobiegła do najbliższych domów, gdzie tato był czymś zajęty, i mówi, że Ruskie tutaj na mamę napadają, tato przybiegł, nieopodal oficerowie radzieccy stacjonowali, do tych oficerów i „starszyzna” przysłała, za żołnierze wzięła i wyprowadziła gdzieś w dół rzeki. Niewątpliwie spotkał ich marny koniec za taki czyn, bo mimo wszystko karani byli żołnierze za takie akty gwałtu, napadów i tym podobne,

jeżeli zostali złapani.

003 Dzieciństwo w Gliniku

Potem rodzice z tego Strzeszyna wyjechali, to kwestia była miesięcy, do Glinika Mariampolskiego, dwadzieścia parę kilometrów od Biecza i Strzeszyna, tam była dawna przedwojenna rafineria nafty, dzisiaj też jest, fabryka była sprzętu wiertniczego, poważna rafineria nafty, z racji wydobycia ropy naftowej na Podkarpaciu, i tam tato znalazł pracę, jak również i chrzestny, i jeszcze tam ktoś z rodziny. No i w tym Gliniku Mariampolskim, koło Gorlic, dzisiaj to już wielkie Gorlice są, tam mieszkaliśmy do pięćdziesiątego trzeciego roku, tam tato był, przewodniczącym Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej, był od urodzenia sportowcem, trenował razem z Kazimierzem Górskim w jednym z lwowskich klubów, „Czerń Lwów” czy „Pogoń Lwów” także znali się z późniejszymi słynnymi sportowcami polskimi, i tam właśnie prowadził ten sport w tym terenie. Piękne były pierwsze lata dzieciństwa w małym domku takim robotniczym, poznawanie świata, gdzie mama moja brała czynny udział, bo chodziłyśmy, oglądałyśmy sąsiedzkie ogródki, okna, firanki, chodziłyśmy, zbierałyśmy zioła, bo mama bardzo się interesowała ziołolecznictwem, kupiła nam książkę, patrzyłyśmy, co gdzie rośnie, do czego służy. Bardzo mnie to fascynowało, przez całe dzieciństwo, w tej chwili też jestem w stanie rozpoznać bardzo wiele ziół z tych naszych wypraw z mamą, spacerów w sumie. Rozpoznawanie różnych zjawisk geologicznych, a jakieś kamienie, a jakaś odkrywka czegoś tam, korzenie, wrażliwość mojej mamy na krajobraz, na przyrodę, choć daleka była oczywiście od wykształcenia przyrodniczego czy jakiejś innej specjalnie zdobywanej wiedzy. Mama była po seminarium nauczycielskim, ale zajmowała się domem, na razie, bo później pracowała w poważnych firmach [śmiech].

004 Wspomnienia z Beskidu

Więc tak rozpoznawałyśmy ten świat i dla mnie takim pięknym światem dzieciństwa był, jest Beskid Niski, okolice dzisiejszej Wysowy-Zdrój... Wysowa-Zdrój, Gorlice, Beskid Niski, tam jeździliśmy na wakacje. Właśnie tak się składa, że za tydzień, dwa jadę do tej Wysowej, do sanatorium, cieszę się przeogromnie, bo będę chciała odnaleźć ślady mojego tam chodzenia w dzieciństwie, niezwykle tam były właśnie odkrycia, przygody, tam widziałam wywożone, bo po Akcji „Wisła” już czterdziesty siódmy rok, ósmy, wywożone furmankami ikonostasy z tamtejszych cerkiewek grekokatolickich. Widok był niesamowicie malowniczy, bo, na przykład w pyle drogi wiejskiej fura jedzie wyłożona tymi obrazami, jeden z obrazów tam przedstawiał anioła, nie zmyślam, tak zapamiętałam, a może to taka była moja wyobraźnia, no ale tak to widziałam, był to anioł z palcem na ustach. I ten pył drogi [śmiech], to jak jakieś kadzidła ofiarne i jadący ten anioł, furmanką. Jak się okazało, te ikonostasy, urządzenia wywożone były do Leska, do Łańcuta, gdzieś jeszcze do muzeów już tam funkcjonujących i tam magazynowane. I po wielu latach, gdy byłam w Wysowej, na

tych terenach, okazało się, że może w osiemdziesięciu procentach te ikony wróciły do cerkiewek. Cerkiewki niektóre odnowiono, połączono użyteczność dla rzymskich katolików i dla grekokatolików i te, właśnie święte rzeczy popowracały. Zadowolona jestem z takiego obrotu sprawy, bo to bardzo piękne rzeczy. Wysowa to było takie przedwojenne żydowskie w sumie uzdrowisko, tam były znakomite i są znakomite wody mineralne, borowina i wody mineralne. Wysowa robiła konkurencję Krynicy, w linii prostej, górami idąc, prawie widać Krynice i na odwrót. Robiła konkurencję z zasobem źródeł i zasobem tych kopalni, no ale nie wytrzymała [śmiech] konkurencji Wysowa. Ale i obecnie w tej chwili rozbudowało się tam leczenie, przyrodolecznictwo, jest to ciche miejsce, ale z pięknymi wyjściami turystycznymi, szlakiem takich właśnie cerkiewek łemkowskich czy cmentarzy z pierwszej wojny światowej.

005 Przeprowadzka do Lublina

W Gorlicach mieszkaliśmy gdzieś tak do pięćdziesiątego trzeciego roku. Tato wyjechał do Rzeszowa, tam w klubie „Stal Rzeszów” prowadził sport taki czy inny, ale były problemy mieszkaniowe, to były lata straszego głodu mieszkaniowego. Tacie zaproponowano Nową Dębę koło Tarnobrzegu. Tam dostaliśmy bardzo ładne mieszkanie w bloku, tato został tam zatrudniony w administracji, prowadził klub sportowy, sekcję swoją lekkoatletyczną i mama pracowała w Zakładach Metalowych, wtedy była tam produkcja specjalna, wojskowa. Mama była starszym brakarzem i sprawdzała, tam robiono broń, pociski artyleryjskie i mama sprawdzała te pociski, ich dokładność składu i tak dalej, i wystarczało milimetr czegoś, na włos czegoś i kilkunastotysięczna partia szła na złom. Tak była skrupulatna, mówiłam o tej skrupulatności, tam znajdowała właśnie [śmiech] pole do popisu, chociaż to wcale nie było jej zamiarem. Po prostu była tak skrupulatna, że mówili: „Pani Maria, ona nie przepuści, na włos nie przepuści, mimo że to dla Ruskich robimy, nie pozwoli na niedokładność” Ale potem się już to rozmaicie zaczęło, zlikwidowano produkcję specjalną po pięćdziesiątym szóstym roku, zdaje się. Później Dęba robiła żelazka, jakiś inny sprzęt, ale to już nas wtedy nie było tam. Tam prawie że kończyłam maturę, w tej Nowej Dębie, a miałam tam takie „pierypały”[właśc. pierępałki –z ros. „życiowe rudności i problemy” przyp. red.] z panem dyrektorem od matematyki, się wziął i zawziął, wiedział, że jestem humanistka, to się czepił, żebym była matematyczką [śmiech]. Do Lublina sprowadził tatę pan dyrektor Fabryki Samochodów Ciężarowych, pan Krupa, i nie dał mieszkania, żeby było weselej. Sprowadził do jednego pokoju z używalnością kuchni, do którego to jednego pokoju musieliśmy zlikwidować to trzypokojowe mieszkanie w Dębie i się tam sprowadzić, no ciągle przy nadziei, że lada moment będzie mieszkanie, przecież rozbudowywały się bloki, osiedla, ale nie było mieszkania. Sąsiedzi, współlokatorzy, co najmniej trzech, dostawali mieszkania po paru miesiącach, ale my nie. A jak tata dostał zawału, zawał serca, to pan dyrektor zwolnił mamę z pracy, a co? Zwolnił mamę z pracy, to tato poszedł gdzie indziej pracować. Też się zamieniliśmy na mieszkanie na

Bieczyńskiego, na wspólny korytarz tym razem, zimne, ciemne, tam nieraz przechodzę w parku, patrzę tam, gdzie mieszkaliśmy od strony północnej, no a potem jakieś takie się wywiązały możliwości przy pomocy dobrych ludzi, którzy tatę pamiętali jeszcze właśnie z Gorlic, pan prezydent Bora powiedział: „No, panie Denys, to ja panu nie pomogę? Toż ja muszę panu pomóc!” Tato był wtedy po wylewie, więc rzecz sama w sobie wołała o pomoc dobrych ludzi. Rodzice nazywali się Maria i Józef Denys. Siostra – Barbara. W latach siedemdziesiątych dostaliśmy mieszkanie na LSM-ie, w którym to mieszkamy do dnia dzisiejszego, rodzice już nie żyją, jestem z siostrą Barbarą, osiem lat starszą, aktorką, postacią równie ciekawą, z ciekawym życiorysem, pięćdziesiąt lat przebywającą w Stanach, w Chicago, tam prowadzącą bardzo ciekawą działalność swoją artystyczną, teatralną, razem z mężem, Ryszardem Krzyżanowskim i od czterech-pięciu lat jesteśmy razem, bo siostra wróciła.

006 Zapraǳnęłam być plastykiem

Do szkoły podstawowej chodziłam w Gliniku Mariampolskim i Nowej Dębie, tu w Lublinie kończyłam liceum, Unię Lubelską, którą miło wspominać. Potem UMCS, polonistka. I na pierwszym roku studiów, sześćdziesiąty piąty rok gdzieś tak było, zostałam przewodnikiem. Poszłam na tę polonistkę z nadmiaru zainteresowań. Interesowała mnie geografia, przyroda, interesowała mnie historia sztuki, interesował mnie teatr, w sensie teoretycznym. Siostra przygotowywała się do egzaminów aktorskich, ja jej tam pomagałam w pewnym sensie, to mnie interesowało, plastyka, historia sztuki to o tyle, ile plastyka. Nagle zapraǳnęłam być plastykiem, po ósmej klasie się zastanawiałam, co tu robić i gdzie, bo taki to był czas, żeby się wyrwać z Nowej Dęby, osiedla w rodzaju Świdnika. Młodzież rwała do świata, to oczywiste, więc zapraǳnęłam być plastykiem. Ale nie objawiałam się z tym przed panem od plastyki, bo on jeszcze prowadził chór, wyrzucił mnie z chóru, bo powiedział, że solistek nie potrzebuje, wyrzucił mnie z chóru, to ja się mu nie pokazywałam z plastyką, a w tym czasie wysłałam prace do Liceum Technik Plastycznych, czy jak tam się to może nazywało, w Zakopanem, słynnej szkoły Kenara, Antoniego, rzeźbiarzy góralskich i tych drewnianych wyrobów. I zostałam przyjęta na podstawie prac rysunkowych, z tym że powiedzieli: „Prosimy jeszcze przyjechać na egzamin taki ustny, rozmowę taką, z tym że nie mamy internatu” Ja nie byłam typem mocarnym nadzwyczaj, żeby wyjechać w Tatry i mieszkać gdzieś, jakoś, u gospodarzy. Rodzice się nie zdecydowali, ja też zrozumiałam, że to byłby za duży wysiłek. Myślałam jeszcze o innych szkołach plastycznych gdzieś w okolicach, to byłby Jarosław, najbliższa okolica, i coś mi przyszło do głowy, gdzieś znalazłam w katalogu liceum technik teatralnych, tak jak pan minister Suski, bo on też skończył liceum technik teatralnych przy ulicy Miodowej w Warszawie. Ja tam zdawałam egzamin, bardzo był poważny egzamin z różnych rzeczy, nie tylko malarstwo, nie tylko grafika, nie tylko historia, język polski, nie tylko fizyka, ale jeszcze elektrotechnika, różne obwody

trzeba było połączyć –proszę bardzo, nigdy tego nie robiłam, ale wyszło... Cerowanie –dali mi szmatkę z dziurą i rób coś z tą dziurą w tej szmatce! Myślę: Jezu, co ja mam tu zrobić? Też tam ci zdający mówią: „co my z tym mamy robić?”W końcu też nie cerowałam tych skarpet tak za dużo, no ale to pomyślałam sobie: no to pewnie trzeba tak zaimitować, że to taka utkana jest ta dziura, także ja tak zrobiłam, że po prostu utkałam to równiutko, bardzo mi się to podobało. To były trzydniowe prawie egzaminy, bo to i z plasteliny różne rzeczy trzeba było wykonać, do wyboru miałam pawia albo o, *nomen omen*, koziołka. No to *nomen omen* koziołek. Wyjechaliśmy na te egzaminy, jeszcze pamiętam u wujostwa w Warszawie jeszcze dorysowywałam, mieli taką ciekawą, kołomyjską ceramikę z Pokucia i ja takie sobie nastawiałam, takie „martwe natury” porobiłam szybko szkice tego, wróciłam z mamą do domu i przyszło zawiadomienie, że i owszem, zostałam zakwalifikowana, ale nie miałam szczęścia, bo nie dostaję się w tym roku z braku miejsca, czyli czytaj: braku znajomości. I tym sposobem nie zostałam plastykiem.

007 Przygoda bułgarska

Geografia odpadła, plastyka odpadła, pozostała rozległa, coraz to rozleglejsza wiedza humanistyczna, bo bardzo lubiłam historię, właśnie historię sztuki, historię teatru. Niekoniecznie byłam wielbicielką poezji i literatury jako takiej, oprócz no, mniej więcej szerszego odczytania. Myślę sobie: na prawo nie pójdę, bo nie lubię uczyć się niczego na pamięć, poszłam na polonistykę. Na pierwszym roku był staro-cerkiewno-słowiański, myślę: Jezu, po co mi jakiś staro-cerkiewno-słowiański? Bardzo dobra byłam w tym staro-cerkiewno-słowiańskim, różne miałam przygody z tym, ale przydało mi się to trochę później, kiedy wyjechałam do Bułgarii, z takiego przypadku poniekąd, tam ktoś mnie poprosił, żeby przyjechać do rodziny polsko-bułgarskiej, bo jest dwuletnie dziecko, rodzice chcieli, żeby je troszkę wprawiać w języku polskim, myślę: dlaczego nie? Pojechałam. Mieszkałam pod Sofią, w pięknej miejscowości górskiej nad rzeką Iskyr, w ogóle Bułgaria stała się też moim takim niezwykłym światem, przygód i [śmiech] wrażeń. I widzę, że wszystko rozumiem, co wszyscy dookoła mówią, tylko nie mam aparatu do mówienia odpowiedniego [śmiech]. Ale wcześniej tutaj w Lublinie z koleżankami, już jako przewodniczki, chodziłyśmy na lektorat bułgarski w Domu Kultury, Wojewódzkim Domu Kultury, tam był pan doktor, się nazywał... Pietroń? A, chciałyśmy trochę takiej odmiany, „dziewczyny, chodźmy na jakiś język, bułgarski tu otworzono, no to chodźmy” Jedna z koleżanek była po bułgarystyce, mówi: „Ja idę, bo sobie utrwale, co mnie tam nauczali”i ja byłam, i jeszcze jedna była, we trzy poszłyśmy. I tak się tam nauczałam chwilę, to parę tygodni było, potem wyjechałam do tej Bułgarii, ja patrzę, że ja wszystko rozumiem, tylko nie mam czym mówić, więc dawaj! się wzięłam za słówka, byłam z tym dzieckiem tam, chłopczykiem, ale miałam też czas dla siebie, słuchałam telewizji, słuchałam, co mówią ludzie, czytałam gazety i wypisywałam sobie, jakie wyrazy będą mi potrzebne do skomunikowania się z ludźmi na zasadzie: skąd jestem, co lubię,

czego nie lubię, co robię, co bym chciała, czego bym nie chciała i tak dalej, i tak dalej i nie unikałam rozmów, jak to się mówi: krzywo, prosto, byle ostro. Były tam jeszcze też różne przygody takie osobiste. Miałam tam taką sympatię, przypuśćmy, spotykaliśmy się, on mi mówi: „co ty będziesz siedzieć gdzieś na dzieciach, chodź, idź do pracy jakiejś, coś ci znajdę, jakieś zajęcie” ale nie on znalazł, tylko przez przypadek, kto inny, też tam można napisać o tym książkę.

008 Jeszcze o Bułgarii

Ja już w zasadzie chciałam wracać do domu i jeszcze miałam do odstąpienia plusz, był to czas, kiedy z metra plusz jako zasłony, jako kapy to było nadzwyczaj tam poszukiwane, ja taki plusz w kolorze starego złota miałam i jeszcze mi on został specjalnie, to było takie czasem dla poratowania, żeby jeszcze parę groszy mieć. I w Centralnym Domu Towarowym kobieta mnie zagadnęła, czy ja nie mam pluszu, bo widzi, że ja Polka, a ja mówię jej po bułgarsku, że mam plusz. I ona się trochę zdenerwowała, myśli: Jezus Maria, niebezpieczna sprawa, ale ja ją pocieszyłam, że jest jak najbardziej bezpieczna i zaprowadziłam do takich starszych państwa, pani była po konserwatorium w Mediolanie, a pan był po ekonomii w Lipsku i był tłumaczem filmów i w ogóle tekstów, no różnie. I ja im ten plusz swój po bardzo umiarkowanej cenie odstąpiłam, potem byłam do nich na Wielkanoc zaproszona, a potem w ogóle zaproszona do domu i „siedź tutaj u nas, ile chcesz” z tym że taką mieli problematyczną córkę u progu schizofrenii, więc z nią mieli problem, ale ona się przy mnie uspokajała i było bardzo fajnie, i ja u nich dostałam pokoić, spałam na perskich dywanach, a co? Rano kawa do łóżka, a co? Z panem wycieczki, taki był miły starszy pan, wycieczki do muzeów, do cerkwi, na kawę w Sofii, było miło, potem obiad w domu, potem wszyscy przychodzili, bo chcieli zobaczyć Polkę mówiącą już po bułgarsku. Okazało się, że, jak to się mówi, „szprechałam”[śmiech] jak Bułgarka, no akcent był troszkę inny i potem się okazało, że mam tam koleżankę jeszcze z Dęby, która wyszła za mąż za Bułgara, no i mówi: „co tak będziesz siedziała? Jedź gdzieś tam, gdzie chcesz!” Ja pracowałam tam jako *Gastarbeiter* [z niem. „pracownik gościnny” przyp. red.]. Posiedziałam u tych państwa jakieś dwa tygodnie, żeśmy biesiadowali, mówię: „słuchajcie, chcecie, żebym ja tu została? To ja nie mogę tutaj siedzieć tak za darmo wam na karku, ja już nie mam grosza i nie chcę takiego problemu tutaj” „A czy byś chciała pracować w restauracji?” Ja mówię: „za kelnerkę nie chcę być, bo liczyć nie umiem, w kuchni też za mała jestem, garów nie domyję...” „Co się martwisz, Marta? Mam znajomego szefa restauracji, chodź, idziemy” Poszliśmy z panem tam porozmawiać, ja mówię, no, studentką jestem, już tam nie uszczegóławiałam, że filologii polskiej, bo słowiańskiej filologii i że tu właśnie chcę się troszkę języka tak osłuchać, no i tam parę groszy, jakby było na czym zarobić, no to proszę bardzo. „No to proszę rano do Sanepidu, zrobić badania i od jutra pani pracuje u nas” No dobrze, poleciałam rano do tego Sanepidu, przychodzę, w restauracji mnie przydzielono oczywiście w kuchni. Ciekawość tam była zaraz do

najwyższego stopnia, wszyscy byli ciekawi, kto ja jestem, co ja jestem i co ja będę robić. Miałam taki bardzo długi stół, ubrano mnie w długi fartuch biały, dano do ręki długi nóż i co? I cały dzień miałam pilnować, żeby w jednym talerzu była nacięta zielona natka pietruszki, w drugim koperek, żeby był co najmniej kilogram, dwa cebuli obranej, takiej gotowej do pokrojenia i żeby był tutaj taki kociołek nieduży obranych ręcznie ziemniaków. Ja mówię: „przecież wy maszynowo wszystko to obieracie!” „A nie, do pewnych dań muszą być obierane ziemniaczki ręcznie” No to tyle miałam roboty, dzień zaczynaliśmy, to już później to weszło w taki rytm, śniadaniem w kuchni. Każdy mógł zjeść, co zostawało z poprzedniego dnia z dań wykwinnych, to była elegancka restauracja. A ja, jak zwykle, za przeproszeniem Europejka – jajeczko na miękko, serek, sałatka pomidorowa lub ogórkowa, więc odstawałam od tego towarzystwa, ewentualnie czasem tam filiżanka zupy. I nic nie rozmawialiśmy, chodziłam po różnych działach, tak żeby nie przeszkadzać, czasem coś pomogłam, tu trzymałam tę zieleninę, żeby nie było tam niedoborów. No i bardzo było miło, obiadem kończyliśmy z tego wszystkiego, co na dzień dzisiejszy było świeżego, a nie jakieś tam odpadowe produkty, tylko normalne, normalna produkcja restauracji, a do tego jeszcze szefowie kuchni, druga zmiana, pierwsza zmiana, otwierali potężny bukłak wina i wszyscy piliśmy, kończyliśmy dzień szklanką wina. Taka to była praca tam, było przyjemnie, nie wolno było kłąć, wszyscy byli grzeczni, a już jak ja byłam, to już naprawdę wszyscy byli grzeczni. I bardzo było sympatycznie, dostawałam bilety w ilości kilkunastu czasem do filharmonii, bo nie bardzo już mieli ochoty chodzić do filharmonii, czy na balet, czy do kina, więc nie mogę powiedzieć, było wspaniale!

009 Bułgarska przewodniczka

Ale nie da rady żyć w takim wspaniałym świecie długo, więc napisałam do „Bałkanturistu” do Warny, że jestem pilotem, jestem przewodnikiem, czy bym się tu państwu nie przydała? Przyjechałam, zawiadomiono mnie po dwóch tygodniach, awizo było telefoniczne, że tam w tej sekcji polskiej, z tym panem moim, u którego mieszkałam, rozmawiali, mówią: „To daj tą Polkę, co mówi po bułgarsku” więc ja się wyrażam po bułgarsku, a on mówi: „Czy może pani poprosić swojego gospodarza?” no to podałam, on mówi: „Ty daj mi tą Polkę mówiącą po bułgarsku” i ja mówię: czy ja już tak fatalnie mówię po bułgarsku? A on mówi: „Bo przed chwilą chyba z Bułgarką rozmawiałem, ty mi Bułgarki nie dawaj, tylko Polkę” I jakoś tam się dogadaliśmy, przyjechałam do Warny, w Złoty Piaskach miałam bungalow przydzielony, za tydzień miałam mieć egzamin państwowy, bo to tak nie było po znajomości, więc wszystkie mapy, książki brałam na plażę w Złoty Piaskach, rozkładałam się z mapami, książkami, koło ratowników, bo to było najbezpieczniej, więc tam się nauczałam, ratownicy przynosili mi *kiselo mljako* [bułg. „jogurt” przyp. red.], owoce, dziwili się, co ja tu robię? No co, będę pilotem w „Bałkanturiscie” a co? Więc się ponauczałam, egzamin zdałam i jakiś miesiąc, dwa pracowałam jako pilot „Bałkanturistu” z grupami polskimi i rosyjskojęzycznymi. Praca była, można

powiedzieć, bardzo atrakcyjna, pewne były też wymogi, oczywiście mundurek: biała bluzeczka, granatowa spódniczka, schludnie, rajstopy, nie gołe nogi, żadne takie, schludność absolutna. Tylko bardzo to było też wyczerpujące, bo o trzeciej rano grupa przylatywała do Warny samolotem, trzeba było przyjść na trzecią, kwatrować, rano na śniadanie i tą pierwszą grupę, która przyjeżdżała i tą, którą się już miało, to jakoś tak się mijałam, że przyjeżdżałam, z pierwszą grupą, którą miałam, jechałam na wycieczkę, prowadziłam tam po różnych Bałczikach, nie-Bałczikach i tak na zmianę, później to tak co parę dni był przylot grupy innej i zmiany, Boże... No ale jakoś dałam [śmiech], dałam temu radę, potem mama przyjechała, odciupasowała mnie do Lublina, bo trzeba było robić pracę magisterską, to jeszcze inne były kłopoty. Byłam w tej Bułgarii prawie rok, w styczniu wyjechałam, pod koniec października wróciłam.

010 O pracy tłumacza

Po powrocie z Bułgarii zarządziłyśmy z dwiema koleżankami, że jedziemy do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, wtedy tak się ten urząd nazywał, w Warszawie i legalizujemy naszą znajomość bułgarskiego, bo to wymagane było do uprawnień przewodnickich. Jak tam zdałyśmy, no nie byłam przysięgłym tłumaczem, ale później zaczęła się bardzo fajna praca tłumacza, tu na cztery województwa to my byłyśmy dwie z bułgarskim. Wszystko trzeba było tłumaczyć, pracowałam z grupami sportowymi różnych dyscyplin, szczególnie tych sportów walki, czyli zapasy, styl wolny, klasyczny, podnoszenie ciężarów, boks, judo. Grupy kulturalne, znaczy pracowników, artystów, różne chóry, przedstawiciele władz miejskich, ministerstw najrozmaitszych, prokuratur wojskowych, trzeba było w tym momencie się douczyć bułgarskiego na bieżąco. Spałam, jak to się mówi, ze słownikiem pod głową, choć nie codziennie, ale prawie co dzień, jakieś dwie delegacje w miesiącu miałam co najmniej. A tu normalna praca, przewodnicka bądź później też dzielona, uczuciowo i czasowo [śmiech], z dziennikarstwem, więc potem już się poświęciłam zagadnieniom sportowym, pracowałam jakieś dwa lata dobre, jak nie więcej, w Państwowej Federacji Sportu, gdzie zajmowałam się wymianą sportową, zagraniczną i to sporo było, dwadzieścia co najmniej ekip, jak nie więcej, w jedną stronę i w drugą, no trzeba było, jak to się dzisiaj mówi, ogarnąć, trzeba było opracować dokumenty, programy pobytów, sprawozdanie potem złożyć, jak odbył się kontakt. Więc przyjeżdżały grupy, ja oprowadzałam, jeździłam po Polsce, organizowałam im pobyt poza sportowym. To były piękne spotkania, z pięknymi ludźmi, ciekawymi, no i też inne tematy, na przykład produkcja Żuka od pierwszego trzpienia do gotowego samochodu, trzeba było temu dać radę. Miałam inżynierów, byli z Ministerstwa Przemysłu Zbrojeniowego Ciężkiego z Sofii i tutaj właśnie jeszcze żył pan dyrektor, ten od nieszczęsnego mieszkania, tam różne były takie eksperymenty ekonomiczne i oni nie mogli sobie dać rady, przetłumaczyć tych eksperymentów ekonomicznych i stanęli na jednym wyrazie, że coś jest płatne od sztuki wyrobu. Wyrób wiadomo, płatne wiadomo, tylko ta sztuka –nie wiadomo. No więc, „Stucken” tego tamto, na wszystkie języki świata,

bo po bułgarsku jedna sztuka czegoś, „sztanka adin, edin broi” Na tym „broi” potykali się, nie mogli tego ruszyć [śmiej]. Języki mają swoją specyfikę, wydawałoby się, że bułgarski czy rosyjski to jedna kalka, niestety nie, tak nie jest.

011 Studenckie czasy. Między dziennikarstwem a przewodnictwem

Jak zaczynałam studia, to miałam panią profesor Grzędzielską, panią profesor Aleksandrowicz, panią profesor Garbaczowską, wszystkie te znamienitości polonistyki UMCS-u, i także KUL-u, bo tam przez pewien czas byłam także. Profesor Brajerski na KUL-u, bo tam przez chwilę się znalazłam właśnie w czasie, kiedy on wykładał właśnie staro-cerkiewny i dopiero w jego wydaniu wykładów ten staro-cerkiewny stał mi się jakiś taki bardziej zrozumiały. No a tutaj był profesor Smoczyński, Narcyz Łubnicki, filozofia, profesor Kaczmarek od gramatyki, Buczyński był jego asystentem, potem jeszcze wielu innych, także znakomita lubelska polonistka i UMCS-u, i KUL-u. Doktor wtedy, Stefan Kruk, od teatralnych rzeczy, i słynna pani Sławińska, jakoś nie lubiliśmy się. Potem oblali nas na UMCS-ie i dziesiątka nas poszła na KUL. Bo nie poinformowano nas na UMCS-ie, że mamy prawo do sesji poprawkowej! A już potem powiedzieliśmy, że zostajemy na tym KUL-u. Potem wróciłam na UMCS na eksternę, studiowałam w ten sposób. Potem miałam przerwę z tą Bułgarią. A pracę pisałam u pani profesor Gerleckiej, udowodnić miałam, że Dygasiński był poetą. Co krok, to przygoda. Niebanalność... Wszystko to było pięknymi [śmiej] etapami czy pięknymi przystankami w życiorysie. Pisałam w „Konfrontacjach” studenckich, więc brałam udział w takim właśnie troszkę społecznym, kulturalnym. Sprzedawałam bilety na koncerty w filharmonii, oczywiście w ramach Zrzeszenia Studentów Polskich. Fajni ludzie byli tam, bardzo się lubiliśmy, bardziej się lubiliśmy niż miała tam odchodzić jakakolwiek polityka. Ja nawet nie wiedziałam, że są wczasy tańsze zagraniczne dla działaczy takich kulturalnych czy innych, pojechałam na wczasy do Mielna czy do Łazów, jakieś tam jeszcze studenckie, tańsze wczasy, nie przypuszczałam, że ja mogę jechać za granicę tanio, tak dalece nie korzystałam z żadnych dobrodziejstw. Ale mieliśmy tak zwane holówki, czyli dyskoteki w akademikach na holu, stąd holówki, słynne bale w „Agro” słynne bale, szczególnie w „Agro” bo tam ta duża sala była, znaczy Wyższa Szkoła Rolnicza, Akademia Rolnicza w tej chwili. Ta sala była w tym budynku przy Akiademickiej. Jakie tam były wspaniałe bale, najpierw początek roku akademickiego, potem noworoczne, najrozmaitsze tam bywały bale. Potem medycy urządzali bale, nie pamiętam, czy na Chodźki już, czy gdzieś indziej. Potem „Arkus” już tutaj wchodził, klub, miejsce stałego bywania, nie dało rady tam stale bywać, palono, szaro było od dymu, więc to groziło śmiercią lub kalectwem. Potem już się wdałam w przewodnictwo i turystykę, więc mnie nie było prawie w Lublinie, bo wyjeżdżałam... W Polsce prawie byłam wszędzie tam, gdzie się coś zwiedza, więc było coś za coś. Stąd były różne przerwy, różne jakieś tam takie... niedoczasy, ale napisałam pracę u pani profesor Grzędzielskiej, z bardzo wielką satysfakcją, miałam propozycję robienia

doktoratu, ale inne wydarzenia rodzinne na to wpływały, także jakoś tu się z tym przewodnictwem ciągle, dziennikarstwem, jakie ono tam było, „Kamena” „Kurier” „Sztandar Ludu” wtedy czy później „Dziennik Wschodni” „Tygodnik Polski” różne ogólnopolskie, jeszcze tam pisywałam, potem z prywatnych pism, no to na przykład Waldka Żelaznego [„Na Przykład”. I do tego pracowałam zawodowo, i współpracowałam, tak dzieliłam uczucie między dziennikarstwem i przewodnictwem.

012 Pani przewodnik z Lublina

W [19]65 roku zrobiłam kurs, znaczy dobiegłam do kursu, bo kurs już prawie się kończył. Zdaje się egzamin po szkoleniu, długim, prawie rocznym, praktyczny, oprowadzając po mieście, po kawałku. Komisja wyznacza, w które miejsca trzeba iść, idzie się wycieczką, idzie się trasą i cię odpytują z terenu. I przy stole sprawdzian z wiedzy teoretycznej, na temat historii, literatury, geografii, no różnych rzeczy, tam przemysł, gospodarka, rozmaite takie... I się uzyskuje uprawnienia przewodnika, i chodzisz, i oprowadzasz, i oprowadzasz. Potem podnosi się klasę przewodnicką, na drugą, ja miałam jedną z pierwszych, to zrobiłam pierwszą klasę przewodnicką, a polegało to na napisaniu pracy, a praca moja była: „Szlak teatralny, lubelski szlak teatralny” więc dzieje teatrów lubelskich, jakoś tak uplecione w staromiejskie różne opowiadania takie czy inne, więc najpierw różne sceny, teatry takie średniowieczne, te z okazji Świąt rozmaitych, Teatr Stary, potem oczywiście Teatr Osterwy, znaczy wcześniej on nie był Osterwy, był Teatr Miejski, inne sceny lubelskie. I wszystko jakoś tak w topografię miasta wplecione i historię życia kulturalnego, literackiego, poetyckiego, także ładny temat, parę razy prowadziłam takie trasy, nazwijmy to teatralne, aczkolwiek ten temat zawsze był przeze mnie eksploatowany. Oczywiście byłam też przewodnikiem na Majdanku. Majdanek wchodził obowiązkowo tutaj, trudno być przewodnikiem po mieście i nie być przewodnikiem po Majdanku, też się egzamin tam składa z wiedzy o Majdanku. I tak, po pierwszych wycieczkach w nocy się zrywałam z krzykiem. Tak, takie to jest wrażenie, takie to jest przeżycie, nie tylko wrażliwców, takich jak ja [śmiech], ale także nieraz pytałam pracowników naukowych na Majdanku: „Jak reagowaliście na to wszystko?” „Jezu, Marta, w nocy krzyki, wstawanie...” I to koledzy nawet, wydawałoby się, że silni psychicznie, mówią: „Daj spokój, wstaję w nocy, ciężko przeżywam to, co się tu robi” A mimo to trzeba było, no i zgłębić temat, się pouczyć tego wszystkiego, podczytywać i jakiś sposób na ten Majdanek przybrać taki, że nie można się tu aż tak emocjonować, tylko z jakąś powagą i spokojem o tym opowiadać, także to już prawie pięćdziesiąt lat oprowadzania, no bywało nieraz po dwa razy dziennie po Majdanku, codziennie, ja już nieraz myślałam, już nieraz był moment, że myślałam: „Jezus Maria, jak ja bym tylko musiała po Majdanku oprowadzać, no to ja bym nie chciała zostać przewodnikiem” Ja bardzo to przeżywałam, a mimo to jakoś trzeba było to wykonać.

013 Środowisko przewodników

Koło przewodników w najlepszych czasach liczyło prawie sto dwadzieścia osób w ciągu tej paskudnej komuny, mieliśmy do trzech, trzech i pół tysięcy grup rocznie w Lublinie. Nas, takich zawodowców, żyjących z przewodnictwa, tam od czasu do czasu, była, jakieś dziesięć, no może dwanaście osób, a może mniej. To znaczy mieliśmy ubezpieczenie, zarabialiśmy tyle, ile się wygadało, to była tak zwana pełna dyspozycja, to forma ogólnopolska była, wyszliśmy na tym, jak Zabłocki na mydle, i w zależności od koniunktury turystycznej, w tej chwili jakieś jest chyba też, gdzieś około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu przewodników, jakoś tak jest. Teraz, w tej chwili zmieniła się struktura uprawiania turystyki –indywidualnych jest dużo, dużo biur jest innych, które prowadzą usługi przewodnickie, nie ma zakładów pracy... Chociaż już zaczynają powracać Koła Gospodyń i tak dalej, to trochę powracają te takie właśnie grupy zawodowe z miejsc pracy, a tak no to szkoły przeważnie, różne wycieczki. Tu miałam właśnie jeszcze rosyjskojęzyczne wycieczki. Do Lublina zaczęły przyjeżdżać wszystkie, w Brześciu przekraczali granicę i Lublin był pierwszym punktem, pierwszym punktem zwiedzania, więc też się trzeba było gwałtownie nauczyć rosyjskiego, czy się go lubiło, czy się nie lubiło, ale raczej się lubiło. I prowadziłam, to jeszcze całkiem niedawno, dokąd mogłam, wycieczki z dawnego Związku Radzieckiego, nazwijmy to. Nawet miałam wycieczki z Ugańska, tam gdzieś z Donbasu, jedne z ostatnich. Tak się chwalili, że Donbas, że tam te miasta takie piękne są, jak u nas. Myślę sobie: „Boże, tak daleko” mówię: „gdzie? tam aż jesteście, na wschodzie Ukrainy”.. A tu za chwilę taka się rzecz zrobiła. I jeszcze do niedawna, jeszcze w tym roku miałam telefon z Moskwy, z Brześcia! „Marta, weź nam grupę tutaj szybciotko” takie szybkie grupy tutaj były półtora-, dwugodzinne, bo mają przystanek, obiad i jadą dalej na Węgry. No niestety, nie mam w tej chwili warunków zdrowotnych [śmiech] do prowadzenia wycieczek. Jako przewodnicy podlegaliśmy oczywiście pod PTTK, który szkolił, nadawał uprawnienia, potem uprawnienia przeszły w gestię Urzędu Marszałkowskiego i chyba bodajże Urząd Marszałkowski w tej chwili nadaje te uprawnienia dalej, ale szkolenie, bo szkołę i egzaminy prowadzi PTTK. Ja też jestem w komisji egzaminów praktycznych, państwowych. I prowadzę szkolenia przewodnickie, a różne mam takie tematy, dziedzictwo kulturalne, przemysł, takim moim konikiem są dzieje przemysłu. Praktyczne wycieczki to inni koledzy tam prowadzą też, także to duża jest machina, machina szkoleniowo-kompetencyjna, to nie jest tak, że ktoś przychodzi i chce być przewodnikiem, o nie, przepraszam bardzo, tak to nie działa. Proszę nam się tu wykazać wiedzą, ewentualnie i warunkami odpowiednimi: dobra dykcja, dobry język, poważny wygląd [śmiech], znaczy odpowiednio jakoś tak się do tego zachować trzeba i taki człowiek przeegzaminowany wie, że coś wie, że się do tego nadaje i ma uprawnienia, ma legitymację, ma kompetencje. Co prawda pan Gowin „uwolnił” ten zawód, nawet uwolnił ratowników górskich od wszelkich egzaminów i wszelkiej wiedzy, na co się górscy przewodnicy zbuntowali i to w sposób straszny, że jak to? Że jak to, przewodnicy górscy mają być dobierani na zasadzie „wolny zawód” każdy prowadzi,

jak potrafi czy nie potrafi? I dopiero to odpuszczono, ale i powrócimy tutaj nawet do tych miejskich terenów, nizinnych terenów, przewodnictwa miejskiego. Egzamin i nadawanie uprawnień. Oczywiście dalej pana ministra Gowina, już nie ministra, premiera, może sobie przyjść ktoś i oprowadzać. Ale inaczej biuro, powie: „a na jakiej podstawie ja wiem, że pani jest przewodnikiem” Także jakiegokolwiek uprawnienie [śmiech], legitymacja, egzamin, sprawdzenie wiedzy, to jest podstawa solidności tej funkcji. Mamy pewną jakąś też i misję, w zasadzie jesteśmy poniekąd jedynymi, którzy opowiadają o historii Polski, miasta. W szkole już nie ma historii, w szkole się już o tym nie mówi, a my mówimy. O różnych wydarzeniach. Kształtujemy pewną wiedzę, pewną tożsamość, bo to już nie przypisuję sobie jakiegoś apostołstwa, aczkolwiek to się samo w sobie zawiera. Staramy się mówić językiem przynajmniej poprawnym i solidnie to prowadzić. Tyle! [śmiech]

014 Dziennikarka „przemysłowa”

Przygodę z dziennikarstwem zaczęłam od „Konfrontacji” studenckich. To była kolumna w „Kurierze Lubelskim” i tam wiele naszych późniejszych redaktorów początki swoje brało od „Konfrontacji” i tam opisywaliśmy życie kulturalne, społeczne i o sporcie pisałam bardzo często, dużo, różne inne tam tematy. A potem jakoś tak się współpracę nawiązywało z redakcją jedną czy drugą, czy kto tam jeszcze i tak się tworzyło to dziennikarstwo. Ja częściej współpracowałam, bo tu byłam związana z przewodnictwem i trochę mi szkoda było. Poza sezonem, już jak się sezon kończył, to szłam do dziennikarstwa, a jak się zaczynał sezon przewodnicki, turystyczny, to uciekałam tutaj. W „Kamieniu” bardzo też dużo pisałam, bardzo dużo reportaży z różnych miejscowości. Jechałam do miejscowości, patrzyłam, co tam macie ciekawego, co się u was dzieje, co się tu stało, co to, jak to? Reportaż taki, nazwijmy może krajoznawczy, w takim sensie jakimś, nie interwencyjny, krajoznawczy, taki historyczny, mniej lub bardziej współczesny, pisywałam tak... To bardzo te reportaże moje były chętnie przyjmowane. Pisałam też o dziejach przemysłu lubelskiego. Wszystkie przemysły, jak powstały, no przypuśćmy do momentu wyzwolenia, do drugiej wojny światowej, jak te przemysły w Lublinie funkcjonowały, jak działały, kto, kiedy, kto zaczął, co produkowały, kto produkował, jak produkował, po co produkował. Dzieje przemysłu dla mnie były jednym z fascynujących tematów, te wszystkie fabryki maszyn rolniczych, gorzelnie, cukrownie, kopalnie, elektrociepłownie. Wyjeżdżałam na wieżę, na komin [śmiech] w Rudkowie, wchodziłam na ścianę wydobywczą w Bogdance. Różne rzeczy robiłam właśnie, wchodząc w różne te maszyny rolnicze, nie-rolnicze, gorzelnie, nie-gorzelnie, to były cudne światy. W „Sztandarze Ludu” pisałam bardziej kulturalnie, w „Kurierze” pisałam bardzo często o sporcie, ale tak problemowo, nie *sensu stricte* sportowo, ale jakieś takie problemowe, sport akademicki, turystyka, krajoznawstwo i kulturalne jakieś recenzje z występów, spotkań. W „Sztandarze” też pisałam o sporcie, nawet tam długi czas siedziałam w sportowej redakcji. I tam pisywałam właśnie takie problemowe

rzeczy, takie z historii sportu, wywiady z postaciami czy jakieś takie problemowe, dzieje pewnej dyscypliny sportu, takie obrzeża sportu w zasadzie, bo nie sport taki wyczynowy [śmiech], doraźny, ale właśnie taki historyczny, historie klubów, historie dyscyplin, takie różne rzeczy.

015 „Tu jest nasza pani redaktor!”

W „Kamienie” pracowałam z Mirkiem Dereckim, on był bardzo wielkim znawcą i specem, przyznam się, dużo korzystam z jego materiałów, bo to mówię „reportaż” ale tutaj wkładałam dużo różnej, rozmaitej wiedzy, także może nie powiem, żeby się stał wzorem, ale coś w tym rodzaju. On był takim życzliwym kolegą, zresztą wszyscy, był [Ireneusz] Kamiński, [Maciej] Podgórski, [Kazimierz] Jaworski. Była jeszcze koleżanka, Lidka [?], była krytykiem teatralnym, te rzeczy prowadziła. Koleżanka, myśmy dwie tam były dziewczyny. Ja mówię: o, już się wzięli i zamknęli, a niech idą w diabły... Nie, fajnie było, zebranie było, to omawialiśmy, co kto zgłasza, każdy temat przyjmował, co tam trzeba było ponapisywać, ale ja zawsze wychodziłam z tematem takim czy innym. Taki piękny reportaż, ciekawy o Sandomierzu zrobiłam, nie z tej ziemi. Jechałam, przeżywałam daną miejscowość [śmiech], przeżywałam, mówię w tym sensie: łąziłam, czułam, siedziałam, patrzyłam, z ludźmi gadałam i z tego się jakaś opowieść piękna robiła... Ja wiedziałam, gdzie pojechać, bo tu przewodnictwo i krajoznawstwo już było impulsem. Wiedziałam, po co ja jadę tam i wiedziałam, co tam znajdę, olejarnię na przykład. Kto by wiedział, gdzie są jakie olejarnie na Lubelszczyźnie, gdzie jeszcze tłoczą olej starym dawnym sposobem. Bardzo też mnie sztuka ludowa interesowała. Wypisywałam o teatrach wiejskich i kabaretach, ot co. Na wszystkie Święta w „Sztandarze” to byłam już takim dyżurnym pisarzem wszystkich obyczajów świątecznych, przypisanych do kalendarza [śmiech]. Z Elizą Kwaśniewską, nową reportażystką, pojechałyśmy do Baranowa, tam był taki zespół, do dzisiaj one może jeszcze są, „Tkaczki” i herody, oni tam właśnie te herody wystawiali na Boże Narodzenie, „Tkaczki” znowuż tkwały i zrobiłyśmy z tego reportażyk, ja potem taki troszkę większy zrobiłam i proszę sobie wyobrazić, że potem zostaję zaproszona przez zespół na drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, wsiadłam w samochód, wzięłam mamę, mówię: „chodź, będziesz wypijać za mnie to, co trzeba będzie wypić” [śmiech]. I jesteśmy w kościele w Baranowie, i pod koniec mszy ksiądz wyciąga gazetę, „Sztandar Ludu” partyjny, myślę: no, opitoli mnie tu pewnie jak święty Michał diabła, a on bierze i czyta reportaż o naszych dzielnych „Tkaczkach” i herodach, i mówi: „A tu jest nasza pani redaktor, gościmy ją dzisiaj” cały kościół się odwrócił i każdy mówi: „O, tutaj jest ona!” jak w sztuce starogreckiej chór grecki: „Tu jest!” Boże, jakie było przyjęcie, jaka uczta potem była, także to bardzo przemile, przygodowe wręcz, co materiał, co sprawa, to ma jakieś didaskalia, jakieś ma dygresje, także tym bardziej przyjemna była dla mnie praca, także ta dziennikarska, a przewodnicka, to już zawsze.

016 Reportaż z cmentarza

Jakimś tam sposobem zawsze zdobywałam zdjęcia do artykułów i reportaży, czy miejscowości, czy ludzi, czy stare fotografie jakież, nie no, ze zdjęciami to wtedy nie było problemu, bo działała Krajowa Agencja Wydawnicza, jak nie robiłam tam, to miałam tu. Schodziłam do grobu Skłodowskich w Kijanach, to już miałam fotoreportera, to był dziennik współczesny, cośmy to pisali? A, byłam na szkoleniówce przewodnickiej w Kijanach, byliśmy na cmentarzu i mnie zainteresował ten grób, tam, gdzie dziadek pochowany Marii Skłodowskiej, myślę: aj, to muszę tu wiosną przyjechać, jak się zrobi ciepło, bo to na Palmową byliśmy, śnieg padał, brzydko było, pomyślałam: a, przyjadę wiosną, to coś tu popiszę. Przyjechałam na ten cmentarz, zaczęłam ten grób oglądać, tak podniosłam klapę, a on otwarty! Wylażłam na górę, patrzę, a tam nieboszczyki powyciągane Skłodowskich z tych trumien, to wzięłam zamknęłam to szybko, przyjechałam do kolegi, do redakcji, kolegę poprosiłam z tego „Tygodnika Współczesnego” mówię: „Kochany, mamy świetny temat, chodź, jedziemy, postawię ci kawę i jeszcze coś” „Dobra”i na drugi dzień pojechaliśmy, on wziął aparat i, i mówię: „Schodź tam na dół, tu jest drabinka” on mówi: „Jezu, ja nie zejść tam na dół” ja mówię: „Schodź na dół!” mówi: „Dobra, ale ty wchodź za mną” Oboje zeszliśmy do grobu, ja go tam trzymałam, on sfotografował, bo zdewastowane były nieboszczyki Skłodowskich w tych trumnach. Wyszliśmy na górę, on nie był mocny raczej, aż siedliśmy gdzieś tam na trawie, on mówi: „Kurczę, Marta, ty daj se już spokój z tym!” „Dobra” No to pozamykaliśmy to wszystko, ja napisałam, gdzieś tam potem był pokazywany w telewizji, w radiu, ale tam pojechałam za jakiś czas, a ksiądz zamknął to na dużą kłódkę, już nikt tam nie mógł wchodzić, ale podobno zostało to uprzątnięte. Więc czasami takie były sytuacje. To było wtedy kiedy prochy Skłodowskich przenoszone były do Panteonu w Paryżu, tak, Marii Skłodowskiej i Julie Curie. Tamtych przenoszono do Panteonu, a tutaj mamy Skłodowskich w jakim stanie? Także takie się wydarzały różne rzeczy.

017 „My nie chcemy o Leninie”

Nie brałam udziału w żadnych strajkach w latach osiemdziesiątych, a z okresu stanu wojennego, to pamiętam, że trzynastego grudnia wprowadzono oczywiście stan wojenny, a jedenastego grudnia miałam grupy radzieckie. Przyznam się, że w zasadzie nie wiedziałam, co się gdzie dzieje, bo wracałam z wycieczek do domu, na drugi dzień znów dawaj! to samo, Kazimierz, Nałęczów, Puławy, grupa ruska po Lublinie, to tylko tyle, co złapałam z Wolnej Europy. Tutaj też pewną prewencję przybraliśmy dla bezpieczeństwa: nie idziemy z grupami ruskimi na Stare Miasto, żeby i nie narazić się samemu, i nie narazić grup, bo jednak bierze się odpowiedzialność, no co będę pchać ludzi? A ja wiem, kto mi tu wyjdzie i prowokację jakąś będzie chciał zrobić czy nieprzyjemność, po co mi to, po co nam to? Przygotowani byliśmy do odpowiedzi, co się dzieje, jak się dzieje, więc mówiliśmy. Że są strajki, że jest słuszna sprawa, trzeba pamiętać, że w grupach radzieckich zawsze

był ktoś, kto pilnie słuchał tego, co się mówi do nich, później chyba już nie, ale lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte to był czas ostrych politruków (z ros. „dbający o poprawność polityczną”). Ze wszystkimi grupami chodziliśmy do kościoła, nie było przepros. Wszystkie grupy szły do kościoła, żeby nie wiem co. W tibusach mogli zostać na głowie, nie musieli ściągać, więc o kościołach była mowa, o historii była mowa, a potem tylko prosili: „Proszę nam o polskich panach opowiedzieć i królach, my nie chcemy o Leninie żadnym” Odpowiadałam: „My nie mamy tu powodu o Leninie opowiadać”[śmiech], więc żeśmy to tak dość poważnie traktowali, ale był to też czas dość trudny, nie było grup, więc ja mówię: przyjeżdżali do Lublina z granicy, jedli obiad i mieli zwiedzanie Lublina, codziennie po dwie grupy, znaczy ja mówię i ktoś jeszcze był tam. I co tu robić jesienią, co tu robić, jak oni chcą miasto? No to na Majdanek. No na Majdanek to już tylko do komór tam nam otwierano, wszędzie ciemno, wszędzie strasznie. No to potem już nie wychodziłam na Stare Miasto, do Katedry tylko, ewentualnie tylko Rynek i Aleje, to już jak się robiło bardzo ciemno, to już nie pchałam się tam. Katedra ciemna, jedna ćmiła lampa, ale trzeba tam było trochę naopowiadać, zrobić z tego atrakcyjną narrację, troszkę objazd Lublina, to zimą, no to potem jak już były Święta, no to przywoziłam opłatek, dzieliłam się opłatkiem, jak była Wielkanoc, tośmy wieźli jajka, dzieliłiśmy się jajkami, chodząc tu czy tam, traktując tak fajnie, jakbyśmy sami chcieli być potraktowani w takich okolicznościach, no i jedenastego miała być jeszcze wycieczka zaprogramowana, ale już jej jedenastego grudnia nie miałam. Potem już w stanie wojennym nie było wycieczek, żadnej działalności jako takiej, nie mieliśmy roboty, ja mówię: słuchajcie, nie mamy roboty, ale wiecie, co możemy robić? Po szkołach wyświetlać przeżrocza i różne zabytki. I ja zaczęłam po szkołach chodzić i klubach z rzutnikiem i miałam różne zestawy: od kolegów, swoje, ja wtedy jeszcze w Stanach byłam, przywoziłam tam jeszcze z rezerwatu Indian, ciekawe rzeczy kulturowe o Ameryce, obrazki różne takie z Lublina, z Polski. Chętnie tam chodziłam z tymi przeżroczeniami, tam mnie raz czy dwa ZOMO zaczęło, zapytali, gdzie idę, ja mówię: „proszę bardzo, proszę ze mną, to się coś dowiedzie” Nie było problemu. To później już wróciły wycieczki polskie, potem wróciły radzieckie, ale u nich zaczęła się pierestrojka i oni smutnieli z dnia na dzień... Jak wcześniej, to wracaliśmy z pieśnią na ustach z „trójką” z Kazimierza, Nałęczowa, pięknie śpiewali, tak później niestety ucichły śpiewy, popadali w refleksję jakąś, zrozumiałą pewnie. No nie śpiewały grupy, koniec. Skończyły się śpiewy, siedzieli, mówię, „umarł wam ktoś? Dawajcie, będziemy śpiewać, spawajcie piosenki!” coś trzeba było robić, no ale: „Nie, nie, my, wiesz Marta, my to wszystko przeżywamy, to co u nas, to co tutaj...”Bardzo byli w takim dyskomforcie, jakimś takim poznawczym, to nie eksponowałam się szczególnie z żadną jakąś wiedzą, żeby im tu humoru nie psuć, zapytali, proszę bardzo: sytuacja taka, taka, a resztę sami widzieli po sklepach, po ulicach, po hotelach. Potem jechali jeszcze do Krakowa, do Pragi, do Niemiec, tamtędy objazd, taką trasę mieli, ale nie miałam i nie mieliśmy żadnych problemów, jakichkolwiek. Po prostu trzeba było działać jakoś tak dyskretnie i ostrożnie, bo to nie

jest rzecz w tym, żeby tu się wypyszcząć. Nasze sprawy –nasze sprawy. Oni sami zresztą widzieli, oni też z ciężkiej sytuacji przyjeżdżali, to co tu mówić? No, ale jakoś się to potem już powoli, powoli normalizowało. Takim dobrym sklepem był „Orfeusz”na Czechowie, tam jeździliśmy trochę na zakupy, bo też jakiś towar był, oni coś tam chcieli kupić. Pamiętam, kupili mi czapkę z lisa na pamiątkę. „Pani Marto, bo się Pani przyda, będzie Pani ciepło w głowę” No to dobrze, to mi miło. Do dzisiaj ją mam. No i różne tam, na bazar tutaj ich puszczaliśmy, to tu, to tam jeździli, lubili kupować nasze towary. Mieliśmy do trzech i pół tysiąca grup, polskich grup było pełno: dzieci, szkoły, zakłady pracy, spółdzielnie, Koła Gospodyń, straże pożarne, naród jeździł i zwiedzał! To potem ja się tutaj przeniosłam do rosyjskojęzycznych, bo nie miał kto, no cały lud tu przypędzał, no to też się do tego przysposobiliśmy. Spaliśmy ze słownikami pod głową, żeby nadażyć za wiedzą, bo to zupełnie inne słownictwo jest na Majdanku, inne w kościele, inne sztuka, także żeby jakiś taki trzymać tutaj poziom, pewnej wiedzy i pewnej poprawności, ja nie byłam rusycystką, były dwie rusycystki, no to im troszkę łatwiej było, a mnie się jeszcze ten język mylił z tym bułgarskim, to już zupełnie były przygody nie z tej ziemi.

018 Miasto jest takie, jak o nim opowiemy

Po 1989 roku dalej robiliśmy to samo. Dalej Lublin był Lublinem i dalej Lublin był dla nas najważniejszy. Cieszyliśmy się, że powstaje to czy tamto, smuciliśmy się, że coś ubywa i po prostu trzeba było o tym Lublinie dalej pięknie opowiadać, nawet pomimo jego niedostatków, które nadal są. Dzisiaj, jak się jedzie ulicą Kunickiego, jak się jedzie Łęczyńską, jak się jedzie tutaj Fabryczną, wszystko tu zostało jak za dawnych przedwojennych czasów, zresztą jeździliśmy takimi trasami, żeby było porządnie widać to miasto, w „Unii”na przykład było spotkanie przeważnie z wycieczkami, w „Unii”czy w „Victorii” no to Miasteczko Akademickie, na LSM-ie wysadzaliśmy grupy, gdzie plac zabaw jest taki. No, zachwył był obopólny, jednych i drugich, bo jak to, tutaj jest sadzawka, gdzie złote karpie pływają? Huśtawki, różne rzeczy dla dzieci, dla wszystkich ten LSM był naprawdę objawieniem. Następnie była taka prawie obowiązkowa przerwa na parę minut, sklepy, to potem na Majdanek stamtąd, bo to tak człowiek chciał taki kursstrzymać ciekawy, no to Majdanek, potem, żeby rozładować napięcie, Katedra, Stare Miasto, Zamek, Śródmieście, jak Śródmieście, to przeważnie ze Śródmieścia skansen. Kiedyś był większy limit czasu, sześciu, ośmiu godzin, to się wszystko jakoś dawało złapać. Ruskie troszkę mniejszy, bo trzeba było w ciągu czterech godzin oprowadzić sześć- czy siedmiogodzinną trasę, i miasto, i Zamek, i Majdanek, i czasami skansen. To kwestia metodyki, jak to oprowadzić, żeby się zmieścić i żeby pokazać miasto, i tak dzień w dzień. Jeśli chodzi o moje ulubione miejsca, to na pewno Stare Miasto zawsze było ulubionym, było i jest, a i ten LSM, przyznam się, był bardzo lubianym miejscem, później zamieszkałam, zostałam tam na chwilę dyrektorem Domu Kultury, ale to już później. Lubiłam wjazd do Lublina od strony Warszawskiej, Aleje Racławickie jeszcze

wysadzone topolami, wyglądało to jak jakieś włoskie miasto z tymi topolami czy tutaj Głębocka, w sumie ludzi zawsze bardzo zachwycała zieleń w Lublinie. Ulica właśnie Głębocka, Aleje Racławickie, LSM zielony, Stare Miasto, Podzamcze, to bardzo robiło miłe wrażenie i lubi się te fragmenty tu wokół Zamku. Straszne są tylko te domy smarowane po fasadzie tym graffiti. To jest barbarzyństwo, to miasto tak zeszpeciło, że ja już tego miasta nie lubię, zostało miasto tak zszpecione przez te reklamy beznadziejne i przez te właśnie graffiti, niech ich diabli wezmą, miasto stało się paskudne! I nie ma o czym mówić. I nie wiem jakie szkło i aluminium by wystawiono, to tej staromiejskiej, takiej przedwojennej zabudowy aż szkoda. Jakby taką Lubartowską odnowił, to by była piękna londyńska ulica, piękne miasto stare, przedwojenne, chociaż ono nigdy takie przecież i nie było, bo to wszystko zależało od statusu materialnego mieszkańców danych ulic czy dzielnic. Narutowicza, dalej ulica stoi taka jakaś zaniedbana. Trochę to Krakowskie ratuje honor i w zasadzie próbuję przejechać miastem samochodem, dziesięć minut i już jest po mieście, czyli trzeba to wszystko na piechotę brać, żeby ten Lublin trwał, no a trwa i to miasto jest takie, jak my o nim opowiemy. Niestety. Ale i ludzie mają też miłe doznania, staromiejskie najczęściej, ale Lublin to nie tylko Stare Miasto. Krakowskie Przedmieście, Plac Litewski, Ogród Saski, Aleje Racławickie, to wszystko są piękne i ciekawe miejsca. Narutowicza, Plac Wolności i skansen, ogród botaniczny, no ciekawe rzeczy, dla nas to codzienność, żadna atrakcja, a zwiedzający – zachwycają się.

Data i miejsce nagrania	2018-04-11, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"